



**Zabytki** TO TWOJE  
DZIEDZICTWO  
nie pozwól niszczyć  
**reaguj**

Roman Marcinek

---

**Marzenie**

[www.zabytki-reaguj.nid.pl](http://www.zabytki-reaguj.nid.pl)

## Marzenie

Dnieje. Oczy się kleją, koszula lepi do pleców, choć ranek wstaje chłodny. Gadać też się już nie chce. Mieli sprawdzić, czy rzeczywiście wiejska droga od Kobylnicy Ruskiej, przez Laszki i Wietlin bywa coraz częściej wybierana przez tych, którzy wolą omijać krajówkę 94 i równoległy do niej odcinek autostrady A4. Odkąd Straż Graniczna i policja zagościły na trasie do Korczowej niemal na stałe, przygraniczni kombinatory musieli szukać nowych tras. Znali ich doskonale. Lud czernoraboczej pogranicza, który próbuje przeżyć.

– Wielkie pieniądze? To wy je zgarniacie. Łapówki bierzecie. I te kurwy, których bagażu nie śmiecie przeszukać. My przemytnicy? Tak! Litr wódki, dwie paczki cygaretek ponad zakon. Niszczymy gospodarkę Unii Europejskiej! Idi na chuj!

Najgorsze, że mieli rację. Prawdziwy przemyt szedł pociągami i ciężarówkami. Albo mailami z fałszywymi fakturami. Ściganie „mrówek” nie miało ekonomicznego sensu. Ot, państwo pokazywało, że czuwa. Do 6.00 państwem na tej drodze, kawałek za zabudowaniami wsi Tuchla, są oni: starszy rewident celny Krystian Wieliczko, starszy rewident celny Rafał Biezuń, młodszy chorąży Straży Granicznej Adam Komasek, młodszy chorąży Straży Granicznej Klemens Bąk.

Mercedesa vito zaparkowali za krzakami, tak by nie rzucał się w oczy kierowcom wyjeżdżającym z lasu w Potoku Jaworowskim. W razie potrzeby mogli bez trudu zablokować przejazd. Desperat, który chciałby przed nimi uciekać, musiałby walić na wstecznym przez otwartą przestrzeń, bo droga idzie nasypem tak stromym, że nie da się z niego zjechać w pola. Na dodatek cały czas w zasięgu broni maszynowej pograniczników. I po co miałby to robić? Z reguły zatrzymany bierze najpierw na litość, a kiedy funkcjonariusze jej nie okażą, robi się obojętny. Nie wygraża, nie pyskuje. Wie, że przez przypadek może narazić się na zarzut daleko surowszy niż przemyt w ilości niewiele większej niż dozwolony limit.

Komasek wyszedł na drogę nie tyle z myślą, by zatrzymać nadjeżdżającą tądę, ile by rozprostować kości. Niech wreszcie coś się dzieje, bo zaśnie na stojąco. Kiedy dostrzegł auto, podniósł latarkę i dał znak kierowcy, by zjechał na placik przy figurze Matki Boskiej. Ten, zamiast spokojnie wtoczyć się na szutrowe klepisko, najpierw gwałtownie zahamował, a potem zredukował bieg, jakby szykując się do szarży. Zwrócił uwagę siedzącego za kierownicą rewidenta Bieźunia i furgonetka w mdłych kolorach Służby Celnej zablokowała skrzyżowanie. Komasek, demonstracyjnie przrzuciwszy pistolet maszynowy na biodro, kazał kierowcy wysiąść.

Ukraińiec był sam. Starszawy facet, krępej postury, tysięjący, ubrany w tanie ciuchy z bazaru i basenowe klapki na grubych podeszwach. Szczeciniasty zarost i odczuwalny nawet w ostrym powietrzu poranka zapaszek wskazywały, że mężczyzna jest w drodze, co najmniej od kilku dni. Z zawieszzonego na szyi woreczka wyjął sfatygowany paszport. Pogranicznik przejrzał go. By formalności stało się zadość, podał dokument Bąkowi, który siedział w samochodzie. Rozumieli się bez słów. Kolega zaczął sprawdzać dane z paszportu w komputerze. Na popękany asfalt wysiedli celnicy, wcześniej cofnąwszy mercedesa na skraj drogi. Podeszli do zatrzymanego samochodu. Przedstawili się zgodnie z regulaminem i polecili kierowcy udostępnić pojazd do przeszukania. Wzruszył ramionami i zrobił gest sugerujący „sami sobie udostępnicie”, ale ostatecznie pootwierał drzwi, podniósł klapę komory silnika, otworzył bagażnik. Wieliczko i Biezuń błyskawicznie przeszukali pojazd. Łady nie miały dla nich żadnych tajemnic. Każda przeróbka, każde „usprawnienie” widzieli tak, jakby pomalowano je czerwoną farbą. Cztery paczki fajek za dużo. Nawet im, choć uważani byli za służbistów, nie chciało się sięgać po formularze. Wieliczko popatrzył tylko groźnie na kierowcę, a ten wykonał gest mający w jego intencji oznaczać przeprosiny.

– Ja yidu na robotu – wyjaśnił. – U mene nemaye hroshey.

Pogranicznik wrócił, niosąc paszport. Dając go celnikowi, pokręcił głową.

– U nas czysty.

Wieliczko jeszcze raz kartkował granatową książeczkę ze złotym tryzubem na okładce.

– Wasyl Gawriszczuk?

Kierowca kiwnął głową. – Data urodzenia? – zapytał celnik. Odpowiedź była poprawna. Nie chciało mu się sprawdzać zgody na pracę i takie tam. Już miał oddać dokument mężczyźnie i zakończyć kontrolę, kiedy grzebiący w bagażniku Biezuń wyprostował się i powiedział:

– Krystek, chodź tutaj.

Było coś takiego w głosie celnika, że Wieliczko bez słowa ruszył w jego stronę, a pogranicznicy, którzy mieli właśnie zapalić po całym, zrezygnowali z dymka i podeszli do kierowcy. Ukraińiec stał z opuszczoną głową. Wieliczko zajrzał do bagażnika, w którym Biezuń wypatroszył turystyczną torbę. Pocerowany dratwą, wypłowiwały „jamnik” z naderwanym paskiem. W środku były zwinięte w kłęb ubrania i brudna bielizna. Kierowca może się nie mył, ale za to przebierał. Spomiędzy skarpet i gaci celnik wyjął dość ciężkie kółko o średnicy mniej więcej 12 centymetrów. Na jego walcowatym brzegu, pod warstwą smaru czy szelaku widać było relief złożony z biegnących w dzikim pędzie jeleni. Podniósł przedmiot do oczu, bo w śmierdzącym benzyną bagażniku było ciemnawo. Wyprostował się. Chuchnął dwa razy, a potem potarł kółkiem o mundur na piersi. I tak po służbie miał go wrzucić do prania. W bladym świetle poranka błysnęło złoto. Ornament w kształcie przylegających do siebie trójkątów.

– O kurwa! – celnik nie zdołał opanować zdumienia. Biezuń pochylił się ku koledze, by sprawdzić, co Krystka, przezywanego „Diakiem”, skłoniło do nietypowej reakcji. Nawet pogranicznicy odwrócili się w ich stronę. Moment dekoncentracji próbował wykorzystać kierowca. Chciał biegiem ruszyć w stronę zarośli. Ale w kłapkach nie miał szans. Komasek zrobił za nim dwa kroki i kopnął w nogę, z której właśnie próbował się odbić. Przemysłownik potknął się i runął na żwir parkingu, kalecząc sobie dłonie o ostre kamyczki. Dopadli go we dwóch, unieruchomili i skuli. Bąk wymamrotał formułki informujące o zatrzymaniu.

\*\*\*

Betonowy podest nakryty cienkim materacem obszytym brązową skórą, cementowa posadzka, ściany wykończone olejną lamperią. Wysoko umieszczone okno zabezpieczone siatką, lampy wpuszczone w sufit. Ciężkie drewniane drzwi z judaszem. Areszt jak każdy. Wasyl Gawriszczuk naciągnął na głowę szary koc drugiej świeżości, bo sąsiad, zatrzymany za przemyt skradzionego w Niemczech BMW, chrapał jak opętany. W gruncie rzeczy Wasyl był spokojny. I zadowolony. Wreszcie wyspał się, wiedząc, że doczeka rana. Pozwolili mu wziąć prysznic, przebrać w ostatnią czystą zmianę jego własnych ubrań. Jedzenie niczego. Ćwiartka chleba, kilka plasterków kiełbasy. Na obiad kasza z sosem. Wieczorem to samo, co rano. Da się żyć. Tiurma też dla ludzi. Ktoś, kto siedział, choćby chwilę, w sowieckiej, potrafi to docenić. A on siedział osiemnaście miesięcy. W Baku, w więzieniu baitowskim. Ponura forteca z cegły, betonu i kolczastego drutu. Strażnicy mieli nad nimi całkowitą władzę. I korzystali z tego przywileju.

Rankiem, w dzień kiedy go zatrzymali, przesłuchiwano go bez końca. Celnicy, strażnicy graniczni, policja. Przyjechał prokurator w towarzystwie jakiegoś rzeczoznawcy, który bez wahania ocenił, że bransoleta, którą wiozł, to przedmiot o wielkim znaczeniu dla dziedzictwa. A i cenę – dodał – ma do tej wartości adekwatną. Kiedy prokurator zapytał go: ile? – wzruszył tylko ramionami.

Grozili mu, straszili. Na pytanie skąd ma przemycany przedmiot, odmówił odpowiedzi. Tak samo zresztą jak na pozostałe. A oni nic nie mogli. Przepisy. W rodzinnych stronach za bezczelne lekceważenie śledczych i uparte milczenie miałby już o kilka zębów mniej.

W Baku poznał swych przyszłych kumpli – najemnych żołnierzy, których umiejętności i broń były do wynajęcia w etnicznych wojnach, jakie wybuchły na terenie upadającego imperium. Ich kompania, która stacjonowała w Armenii, całkiem się rozsypała. Dowódca sprzedawał sprzęt i amunicję. Nikt nad niczym nie panował. Kiedy wyszli, dotaczyli do nich, był w końcu żołnierzem piechoty morskiej z Sewastopola. Ruszyli szukać pracodawcy.

Sąsiad zachrapał tak, że Vasyłowi zdawało się, że za ścianą uruchomiono tartak. Wstał, napił się wody z kranu. Popatrzył w mętne odbicie widoczne na wypolerowanej stali zastępującej lustro. Trzeba ci było? Potożył się na betonowym legowisku. Założył ręce pod głowę i patrzył w sufit, na który kraty rzucały dziwaczne cienie.

Komandir wysłał go do swego domu z jakąś paczką. Kiedy dojechał do willi na przedmieściach Suchumi, oniemiał. Ciężka brama, strażnicy. Dalej bajeczna subtropikalna zieleń i biała willa zbudowana w carskich czasach. Rozległy widok na morze. Gapił się dłuższą chwilę, w końcu wartownicy zaczęli się śmiać: – Coś tak ćwoku zaniemówił? Jedź pod willę z lewej strony. Pytaj o Irinę.

Wysiadł z terenowego UAZ-a na podjeździe. Przy basenie opalały się dwie piękne dziewczyny. Widział takie tylko w filmach. Trzciniowe fotele, długie nogi, kieliszki z drinkami, skąpe kostiumy kąpielowe. Tak musi wyglądać raj. Też tak chciał, choć raz, choć przez kilka dni. Całą drogę powrotną myślał tym, co zrobić, by jeden weekend w życiu spędzić tak jak komandir. Wiedział, czym ryzykuje, gdyby coś poszło nie tak. W porcie stały dwa kontenery dostarczone przez grecki frachtowiec, którego załoga żyła z kontrabandy. Zamieniono je w miejsca przestuchań: panele izolując hałas, kajdanki przymocowane do sufitu i podłogi. Na środku fotel dentystyczny z paskami unieruchamiającymi stopy i ręce. Gniazdko z prądem. Narzędzia tortur. Podobno szefostwo zamówiło je w Holandii. Skusił się. Miał marzenie. Musiał zakosztować komandirskiego życia.

\*\*\*

Wokół okrągłego stołu w gabinecie dyrektora Muzeum Archeologicznego siedziało kilka osób. Na środku stał pokryty adamaszkiem jubilerski stojak nakryty szklanym wiekiem. Wewnątrz błyszcząca, oczyszczona z brudu, który miał maskować jej urodę, scytyjska bransoleta. Stylizowane jelenie pędziły przed siebie, przeskakując przez okrągłe sześciopłatkowe kwiaty. Błędne koło trwające od stuleci. Przystanąć mogły tylko przy czymś, co wyglądało jak zbudowane z ostrych trójkątów ogrodzenie.

– ...prace wykopaliskowe na scytyjskich kurhanach nabrały rozmachu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Prowadzono je na Krymie oraz w obwodach: chersońskim, zaporoskim, dniepropietrowskim i mikołajewskim. Szczególnie wartościowe okazały się znaleziska w kurhanach Melitopolskim, Berdianskim, Oguzkim, Hajmanowa i wspomnianej już Tołstej Mohyle. – archeolożka referująca efekty weryfikacji znaleziska wyświetlał kolejne slajdy prezentacji.

Zebrani wokół stołu mężczyźni słuchali z zainteresowaniem. Dla celników, strażników granicznych, policjantki i prokuratora nadzorującego sprawę były to rzeczy może nie nowe, ale słabo znane.

– ...ozdoby uszu, bransolety, pierścienie wykonywano metodą tłoczenia, odlewania modeli woskowych, wykonywania filigranów. W tematyce ozdób popularne były postacie z mitologii i kultury greckiej: Atena, Herkules, Achilles, rzadziej satyry czy sfinksy. – Kobieta przerzuciła trzymane w dłoni kartki. Kiedy nabrała powietrza, by kontynuować wywód, dyrektor wpadł jej w słowo.

– Pani doktor, to wszystko jest pasjonujące, co pani mówi, ale proszę do rzeczy. Pani Balcer jest wybitną specjalistką, może o tym mówić godzinami. Brała udział w badaniach kurhanu w Ryżanówce, który dzięki wsparciu Uniwersytetu Jagiellońskiego, Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Komitetu Badań Naukowych, Muzeum Archeolo-

gicznego w Krakowie i Polskiej Akademii Umiejętności udało się całkowicie przebadać. Odnaleziony tam pochówek to cud. Nienaruszonego kurhanu nie znaleziono od... – zwrócił się do kobiety.

– Od roku tysiąc osiemset trzydziestego – odpowiedziała.

– No właśnie. Spoczął w nim mężczyzna około pięćdziesięciu lat, który poległ na polu walki, więc pochowano go z bojowym rynsztunkiem.

– Łącznie inwentarz grobowca – kobieta wpadła dyrektorowi w słowo i już nie pozwoliła sobie odebrać głosu

– liczył około sześciuset przedmiotów, w tym sto pięćdziesiąt znalezisk srebrnych i złotych. – Ale i tak wyglądała na nieco obrażoną. Skończyła zdanie, demonstracyjnie schowała papiery do kartonowej teczki i wyłączyła rzutnik. Wstała i teatralnym gestem wskazała bransoletę królującą na środku blatu.

– Jelenie były świętymi zwierzętami scytyjskiej bogini Argimpasy. Przedmiot wykonano najpewniej w V, może IV wieku przed naszą erą. Sądząc po sposobie obrobienia odlewu, pochodzi najpewniej z kręgu Królestwa Bosporańskiego – zawiesiła głos, ciesząc się drobniańskim triumfem. Szła o zakład, że nikt z obecnych nie wskaże go na mapie. Jej szef był autorytetem, ale od paleolitu. – To wschodnie i południowe wybrzeża Morza Azowskiego. Powstał zapewne w którymś z miasteczek nad dzisiejszą Cieśniną Kerczeńską. W Pentikapajonie, miejscu handlu Greków ze stepowymi koczownikami.

– A teraz leży tutaj – filozoficznie próbował wtrącić się przedstawiciel prokuratury. Odwrócił uwagę, by sięgnąć po przedostatniego języka. Biorąc ciasteczko, postawił w trudnej sytuacji inspektora straży celnej, który zamierzał zrobić to samo, ale teraz zmuszony był się wycofać, by nie zabierać ostatniego.

– Owszem – zgodziła się kobieta – i to jest dziwne. Jak już wiemy, bransolety nie skradziono z żadnego muzeum, z żadnej prywatnej kolekcji. Do tej pory nie była znana ani rejestrowana. Wskoczyła jak diabeł z pudełka. Skontaktowaliśmy się z zarządami muzeów w Rosji i na Ukrainie. No, właściwie w całym obszarze postsowieckim. Nikt nie zgłosił straty. Nikt jej nie rozpoznał. Tylko profesor Olena Menczuk z Muzeja Istorycznych Kosztownostiej Ukrainy w Kijowie przysłała mi to. – Włączyła rzutnik, pominęła ze trzydzieści plansz prezentacji, co uczestnicy przyjęli z ulgą. Zatrzymała się przy slajdzie, na którym widać było bogatą kolię, diadem i wspaniałe zausznicze. Cały zestaw zdobiła dekoracja identyczna jak leżąca na stole bransoletę.

– To kopia karty z katalogu jednego z londyńskich domów aukcyjnych. Pasuje, jak ulał.

– No to mamy ich – ucieszył się celnik. Wstał i niby przy okazji okazania radości porwał ostatniego języka. Nie uszło to czujnemu oku dyrektora, który skinął na spisującego protokół asystenta. Mizerny chłopak zniknął za ciężkimi drzwiami.

– Nie mamy. Ta aukcja się nie odbyła – zbita go z tropu archeolożka. – Eksperci domu aukcyjnego nie byli w stanie potwierdzić legalności źródła pochodzenia, pojawiły się jakieś domysły, bezpodstawne podejrzenie, że może pochodzić z rzeczy zaginionych w Muzeum Narodowym w Bagdadzie. Ostatecznie oferent się wycofał. Zostały tylko pojedyncze, próbne wersje katalogu. A kart takich jak ta – wskazała na ekran – było więcej.

– Skąd pani to wie?

– Od profesor Menczuk. Dostaje takie katalogi.

– Skąd? – indagował prokurator.

– Tego nie wiem. Podejrzewam, że ma znajomego oligarchę-kolekcjonera, który z dobrego serca albo w zamian za eksperckie porady podrzuca jej takie cuda. To są aukcje, których nie reklamuje się w Internecie i gazetach. Wręcz przeciwnie, kierowane są do ludzi wyjątkowo ceniących prywatność. Ona zwróciła mi uwagę, że w opisie znalazła się fałszywa najpewniej informacja, że precjoza poprzedni właściciel kupił przez przed rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym.

Widząc zdziwione spojrzenia, wyjaśniła:

– Data nabycia kolczyków i całej reszty specjalnie została określona na czas przed rokiem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Wtedy UNESCO uchwalilo konwencję utrudniającą nabywanie starożytności o niejasnym pochodzeniu. Większość państw honoruje to porozumienie, co czyni nielegalnym handel przedmiotami nabytymi po roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym.

– Czyli – prokuratorowi zamarzyło się emocjonujące śledztwo – w tym domu aukcyjnym będą wiedzieli, kim był złodziej albo kto go reprezentował. Trzeba będzie wystąpić o pomoc prawną...

– Może pan to zrobić, oczywiście – pokiwała głową ekspertka – ale renomowany dom aukcyjny prędzej odda panu nerkę członka swojego zarządu niż wiedzę o tym, kto zaoferował im te skarby. Zwłaszcza że jak mówiłam, aukcja się nie odbyła. Przynajmniej nie na sali.

– Co pani ma na myśli? – zainteresowała się przedstawicielka policji.

– Darknet. Płatne w bitcoinach. Sama pani to doskonale wie, pani komisarz.

– Jak pani sądzi, czemu wycofali się z aukcji? – zapytała policjantka.

– Myślę, że próbują odzyskać tę bransoletę. Zestaw kompletny, wraz z nią – wskazała na środek stołu – jest bez porównania więcej wart. Z tym że istnieje ogromna szansa, że to się nie zdarzy. Nie mówię o naszym przypadku, uogólniam. Poza tym Polska jest dla handlu starożytnościami co najwyżej szlakiem transportowym. Nie ma tu ani klientów, ani oferentów.

– No, chyba bym się nie zgodziła... – zaczęła ostrożnie policjantka.

– Nie mówię o znaleziskach z naszych ziem. Mówię o klasyce archeologii, o zabytkach z Dwurzecza, z Azji Mniejszej, z basenu Morza Śródziemnego. Na szczęście, bo nie mamy ludzi, ani w policji, ani na uczelniach, ani w muzeach. Brytyjska policja przejęła od londyńskiego sprzedawcy dzieł sztuki sumeryjskie pieczęcie, gliniane szyszki i proporczyk w kształcie byka. Handlarz nie posiadał dokumentacji tych przedmiotów, nie próbował też ich później odzyskać. Przeszukując skonfiskowane pudła pełne zręcznie wykonanych falsyfikatów, zespół British Museum znalazł jeszcze osiem artefaktów liczących po pięć tysięcy lat, zrabowanych w roku dwa tysiące trzecim w Bagdadzie. Procedura zwrotu do Iraku trwała piętnaście lat. Jak pani sobie wyobraża taką akcję w naszych realiach?

– Z tego co widzę – dyrektor uznał, że czas zmierzać do końca – nie ma innej możliwości niż ta, że bransoleta pozostaje u nas w bezterminowym depozycie. Była przedmiotem przemytu, poprzedni właściciel nie jest znany. Umieścimy ją na razie w sejfie, z czasem może na ekspozycji z odpowiednim komentarzem. Ale niech mi pan powie z łaski swojej – zwrócił się do przedstawiciela straży granicznej – co właściwie zeznał ten przemytnik?

– Nic – ubiegła go policjantka.

– Nic – potwierdził prokurator. – Nie było go nawet za co skazać, bo twierdził, że to nie jego. Skąd ktoś taki jak on miałby jakiś skarb i skąd by wiedział, za ile może go sprzedać. I że ktoś mu to kolco podrzucił. Żmudny proces bez większego sensu. Zdecydowałem o deportacji, szkoda, żeby u nas siedział, a podatnik za to płacił.

– Czyli nie dowiemy się...

– Nie – przedstawiciela Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej zaczął uwierać kotnierzy mundurowej koszuli. – Był u nas w areszcie deportacyjnym. Poprosił o widzenie z kimś z szefostwa. Rozmawiał z nim zastępca komendanta aresztu. Wtedy pękł. Okazało się, że był najemnikiem. Ale szybko jego przełożeni zorientowali się, że to ryzyko niewspółmiernie małe do zysków. Przystawili się na handel wszystkim co nielegalne, pozyskiwaniem i odsprzedażą broni, materiałów rozszczepialnych. Nielegalnymi poszukiwaniami archeologicznymi i napadami na kolekcjonerów. Ten przemytnik – kontynuował – opowiedział, że gdzieś na stepach koło Dniepropietrowska wojsko prowadzi nielegalne poszukiwania. Tam poligony ciągną się bez końca. – My naszli kurgan – mówił. Zniwelowali go po cichu, interesowały ich tylko artefakty. Podobno tylko z tego miejsca było tego kilkaset sztuk.

– Konfabuluje – wtrąciła pani doktor. – I skąd akurat on miałby rzecz wartą steki tysięcy funtów? Takie cuda

podróżują w bagażu dyplomatycznym, prywatnymi odrzutowcami, a nie w bagażniku samochodu.

– W tym rzecz. On był pionkiem. Nikim. Generatorowie szmuglowali i sprzedawali urobek. Mieli na swoich usługach ekspertów z różnych krajów byłego ZSRR i doskonale wiedzieli, gdzie i czego szukać. Mieli woły robocze i bezwzględnych katów. Opowiadał majorowi, że kiedy złapano żołnierza na próbie kradzieży złotej monety, zastrzelono go. I rozpruto mu brzuch, by ją odzyskać.

W pokoju zrobiło się cicho. Wejście asystenta z tacą języków wydawało się głośnie jak salwa armatnia.

– A on? Ten nasz – przerwał milczenie prokurator.

– Był podoficerem. Nadzorcą. Udało mu się ukraść bransoletę podczas przewożenia znalezisk do Abchazji, bo tam było centrum logistyczne grupy. Ale się zorientowali. Uciekł, zmylił pogoń. Próbował dostać się do Berlina, żeby to sprzedać. No i wpadł na naszych. Zaczął prosić szefa aresztu, by go nie deportować, że będzie zeznawał, że zginie pierwszej nocy w tamtejszym więzieniu, że na jego głowę wyznaczono cenę. Ale wielu tak mówi, więc szef nie uwierzył. Odmówił i potwierdził ostateczną zgodę na przekazanie go stronie ukraińskiej.

– To może – zaczął zastanawiać się prokurator. – Może jednak wobec tego wznowić śledztwo, skoro jest domniemanie...

– Nie – pokręcił głową pogranicznik. – Vasyl Gawriszczuk powiesił się wczoraj, przed świtem.